



MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
 „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
 — — — Nauczycielskich w Białymstoku — — —

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|--|------------------------------|
| 1. Z obecnej doby | Krojewska III ż. |
| 2. Braterstwo narodów | Czesław Ostrowski IV m. |
| 3. Wiosłarze | „Cki” IV m. |
| 4. Twórzmy Koło morskie | Borysiewicz III m. |
| 5. Dwugłos o Młodości | J. Kossakowska v „panieński” |
| | L. Makarówna v ż. |
| 6. Z pamiętnika | |
| 7. Chwila | O. J. P. k. v ż. |
| 8. Jesień | M. Waczyńska IV ż. |
| 9. Ranek | Kaz. K. lv m. |
| 10. Krwawe wspomnienie | Cz. Sawicki K. II. m. |
| 11. Bohaterski czyn | J. S. lv m. |
| 12. Jak lud pojmuje zjawiska | F. Samejkówna v ż. |
| 13. Strach | W. R. lv m. |
| 14. Nasze synonimy | Br. R. k. lv m. |
| 15. Czytelnia a my | M. S. III ż. |
| 16. Uderzmy się | J. Kossakowska v „panieński” |
| 17. Pioruny | Ziuta v kurs „panieński” |
| 18. Przyszłość | Stef lv m. |
| 19. Praca | H. Bółbatówna vl ż. |
| 20. Ulica | Hermana Łotowska III ż. |
| 21. Nocna wycieczka | A. Romanowska lv ż. |
| 22. Przyrzeczenie | H. Bółbatówna lv ż. |
| 23. Wspomnienia z wieczorku | W. Błoszko kurs II m. |
| 24. Jak to było na V ż. | Ge-Ka. v żeńs. |
| 25. Wrażenie z Wystawy | Kaz. K. lv m. |
| 26. Wieczorek towarzyski | M. Waczyńska lv ż. |
| 27. Kronika V k. | J. Kołodziejski v. |
| 28. Z kroniki II ż. | Hanka II ż. |
| 29. Kronika ogólnoszkolna | |
| 30. Kronika państwowa | J. Pawłowski v m. |
| 31. Odpowiedzi Redakcji | |
| 32. Polemika | Kaz. Kowalski lv m. |

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku,
 Nr. tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: S. TREUGUTT.

Redaktor: I. Polówna.

Wiceredaktor: L. Makarówna.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku.

Z obecnej doby.

Niedawno przeżywaliśmy okres sukcesów, które rozślały imię Polski po całym świecie. Pierwsze promienie tej sławy spływały na nas na olimpiadzie w Los Angeles. Na maszcie olimpijskim załopotała biało-amarantowa chorągiew, a naszego hymnu państwowego słuchało trzydzieści narodów uczestniczących w zawodach! Tak witano zwycięstwa Janusza Kusocińskiego, Walasiewiczówny, „szybkonożnej Polki,” i innych. Zawodnicy nasi rozumieli, że ich zwycięstwo to zwycięstwo Polski. To też chlubnie wywiązali się z obowiązku. Z jakąż radosną dumą musieli oni patrzeć na łopocący majestatycznie na tle błękitów nasz sztandar, słuchać tonów hymnu i widzieć wielotysięczne rzesze stojące „na baczność” z obnażonymi głowami! Każdy Polak dziś czuje bezgraniczną wdzięczność dla naszej reprezentacji. Każde serce bije dla nich gorącą miłością, a usta szepcą: „Oby nam żyli jak najdłużej, oby im szczęście sprzyjało poprzez wszystkie dni ich życia”.

Prócz tego chlubnego egzaminu z własnej ciężyzny, daliśmy światu drugie, może bardziej zasługujące na zdumienie i podziw zwycięstwo: Fr. Żwirki na międzynarodowych zawodach lotniczych. Pierwszy obleciał Europę na samolocie skonstruowanym przez inż. Wigurę i stanął na lotnisku w Berlinie zwyciężając Niemców, uważanych dotąd za niepokonanych. Triumf jego był wielki, i wielką była zasługa! Po całej ziemi rozległ się jeden głos! „Polak zwyciężył” Głos ten ubrał ojczyznę w szatę wielkiej chwały. Pokazał zdumionym narodom, żeśmy na polu lotnictwa zdołali dorównać naszym sąsiadom, ale i wynieść się ponad nich. Nasze młode lotnictwo otrzymało palmę pierwszeństwa. Naród polski godnie uczył tych, którzy na skrzydłach samolotu roznieśli sławę imienia Polski i którym na niemieckiej ziemi grali Niemcy polski hymn państwowy!

Los jednakże jest okrutny. Nie przebrzmiały jeszcze hołdy narodu dla bohaterów, a już całą Polskę, od Bałtyku aż po sine szczyty Karpat, okrywa kir żałoby: Żwirko i Wigura nie żyją! Straszna katastrofa położyła nagle kres ich bujnemu życiu. Śmierć jednak nie połamiała skrzydeł tryumfального lotu tych, którzy zdążali ku słońcu! Niechże ziemia, polska lekką Wam będzie i nuci Wam do snu niedosnutą pieśń sławy...

Krojewska III. ż.

Braterstwo narodów

(pod wrażeniem Międzyn. Zlotu Skautów Wodnych w Polsce)

Dużo się słyszy o Lidze Narodów. Ludzkość, znękana i zgębiona wojną światową i jej następstwami, zapagnęła spokoju i wyłoniła ten organ, aby czuwał nad pokojem powszechnym i trwałym. Myśl piękna, cel wielki, ale trudny do osiągnięcia. Obserwując działalność Ligi, zauważymy, jakie wielkotrudności napotyka ona w realizowaniu swych haseł. Powodem jest niezupełne zrozumienie sprawy przez społeczeństwa.

Dlaczego poruszam kwestję, dość odległą od codziennego życia sztabaka? Niech to nikogo nie dziwi. Choć jesteśmy tak daleko od Ligi Narodów, jednak możemy dołożyć do jej pracy sporą cegiełkę pod fundament pokoju powszechnego. Znamy przysłowie: „Czem skorupka za młodu nasiąknie...” Jeśli chcemy pracować dla Ligi, szerzymy ideę braterstwa.

W tym duchu podjął pracę Skauting.

Prawda, że jeszcze wiele wody upłynie w rzekach świata, nim cel zostanie osiągnięty, lecz brać skautowa tem się nie zraża. Z roku na rok przybywa na listę Międzynarodowego Biura Skautowego organizacja z jakiegoś kraju, która pragnie wejść w koło bratniej młodzieży całego świata i szerzyć ideały braterstwa.

My, przyszli wychowawcy, rzućmy wzrokiem w nieprzebrane masy młodzieży na terenie szkół powszechnych. Wciągajmy ją w bratnie szeregi harcerskie, do których się pali, a wtedy stworzymy „nowego ducha” w świecie, o jakim mówi Baden-Powell, twórca Skautingu, w swem przemówieniu na VI-ej Międzynarodowej Konferencji Skautowej w Badenie:

„Każdy kraj będzie w nadchodzącym okresie potrzebował więcej silnych charakterów, niż kiedykolwiek. Przebyliśmy już okres eksperymentów i wiemy, że możemy urabiać charaktery, możemy służyć na tej drodze wszystkim krajom. Liga Narodów i rządy robią dużo dla zbliżenia

narodów i wyrobienia solidarności, wysiłki te jednak nie wystarczą, potrzeba bezpośredniej współpracy społeczeństw. Cała ludzkość musi się przejąć nowym duchem, a my mamy najlepsze sposoby zbliżania i wyrażania wzajemnej przyjaźni. Trzy miliony naszej młodzieży to zaczyn nowego ducha."

Czesław Ostrowski IV m.

WIOŚLARZE.

Hej, do wiosła, walić w dłonie,
Niech łódź wartko płynie!
Zrzućmy smutek w rzeczne tonie,
Niech na zawsze ginie!

Wydobądźmy z głębin duszy
Ton rześkiej pobudki,
Niech się serce nam nie suszy,
Niech precz idą smutki!

Dalej, dalej, razem! — pilnie
Prujmy rzeczne fale.
Jako ptaki lećmy chyżo,
W nieskończone dale!...

„Cki“ IV m.

Twórzmy koło morskie!

Polska odzyskała wolność i oparła się o własne wybrzeże morskie. Odzyskałimy, niestety, tylko część tego, co należało do nas niegdyś, bo zaledwie 72 km. (z Helem 146 km.) linii brzegowej morza. Procentowo stanowi to 3, 9% granicy lądowej (bez Helu 1,95%). Granica Niemiec tymczasem liczy 1488 km. linii brzegowej, t. j. około 25% granicy lądowej. Widzimy z porównania, jak olbrzymia jest różnica między Polską a Niemcami w posiadaniu swobodnego i nieskrępowanego dostępu do morza. I ten skrawek wybrzeża, niezbędny warunek niezależności gospodarczej i politycznej, stanowi przedmiot bezzasadnych pod każdym względem roszczeń niemieckich! Musimy zrozumieć, czym jest dla nas własne wybrzeże i umieć odeprzeć wszelkie na naszą własność morską zakusy!

Na nas, jako na przyszłych obywateli i nauczycieli, państwo nakłada obowiązek szerzenia propagandy Pomorza wśród tych, którzy nie wiedzą lub nie doceniają państwowego zna-

czenia tej kwestji. Pójdziemy w świat. Drogi nasze będą różne, ale cel nasz w kierunku Pomorza powinien być jednakowy. W szkole naszej nie mamy koła morskiego, któreby nas do tej pracy przygotowało. W tym kierunku cośnecoś pracuje kurs III m. wiążąc pracę roczną gminy z morzem. Zwracam się do koleżeństwa, jako do przyszłych propagatorów Pomorza wśród narodu, i rzucam hasło utworzenia koła morskiego na terenie naszej szkoły!

Borysiewicz III. m.

Dwugłos o Młodości!

I.

Każdy chyba ze łzą rozrzewnienia wspomina młodość: cze wzloty, złudzenia i rozbicia, chwile opromienione zapałem i beztroskim śmiechem. My, młodzi, nie doceniamy może teraz swego okresu. Usilnie pragniemy przyszłości (oczywiście tęczowej), nie myślimy o tem, że kiedyś całem jestestwem zapragniemy tych szybko porzuconych dni. Kiedyś, wrócimy myślą do „wiecznego niewysypiania“ się, zawodów sercowych, drżeń przedklasówkowych i innych „przypadłości“ młodzieńczego wieku, i z żalem westchniemy, że to już minęło bezpowrotnie.

Narzekamy zawsze i wszędzie: to na pogodę, to na dwóje, to na kolegów, to profesorów. Męczymy się—nawet płacemy. Ale też śmiejemy się tak, że ściany pękają, że nam zazdroszą, że porównują nas do warjatów, tak beziroskolnie!

Cała tajemnica młodocianego szczęścia leży w jakości reagowania.

Młody człowiek nie zraża się, gdy dostanie obuchem w skroń, a rwie się i pędzi z zawrotną szybkością, i szaloną ciekawością—aż na złamanie karku! A później postara się po raz drugi: zaryzykować. Szczęście młodych leży właśnie w ich niedoświadczeniu. Doświadczenie podcina skrzydła ludzkości starszym, hamuje pęd do rzeczy nowych, nieznanych, nasuwa obrazy smutnego końca poprzednich poczynąń—tłumi żywotność. Zamyka drogę do cudownych wzruszeń, do zaspakajania ciągle niesytej ciekawości, i budowania zamków tęczowych—choćby na lodzie.

„Młodości!—ty nad poziomy wylatuj!“, bo masz niewyczerpany zapas energii, nierozpraszcanej się pod wpływem przeciwności, a potęgującej się w miarę szalonych zamierzeń i niszczalnych marzeń. „O, jakże trudnem do rozczarowania, mówi Orzeszkowa, jak przystępne złudzeniom, jak uparte w raz powziętej wierze jest serce młode, czujące w samym sobie niezmierne do dobrego porywy i pragnące z całych sił widzieć na ziemi jasną cnotę i wielkość“.

J. Kossakowska. V „panieński.“

II.

Najszczęśliwszy i najpiękniejszy okres w życiu—to młodość. Czy naprawdę? przecie tak często słyszy się narzekania, że nasze życie szkolne jest takie szare i trudne. Tak, ale jestem pewnie, że kiedyś odczujemy, ile chwil jasnych i nie zapomnianych dała nam szkoła. Wówczas niejeden zechce oddać największe dobra i resztę swego życia, byleby przeżyć choć jedną chwilę z „młodych lat“.

Teraz, póki czas, powinniśmy odczuć w pełni naszą młodość i wyczerpać tę czarę do dna. Uprzytomnijmy sobie, jak szybko bije serce w każdym z nas, ile się w niem mieści szlachetnych porywów, energii, ochoty do pracy i zwyciężania przeszkód życiowych. Ileż to razy podejmujemy się szalonych wysiłków, gdyż nie wyobrażamy sobie, że może istnieć dla nas coś nieosiągalnego. Nam młodym zdaje się, że cały świat jest w naszych rękach, i że jego przyszłe losy wyłącznie od nas zależą. I przecież tak jest naprawdę! Jesteśmy potężni młodością. Przekujmy tę siłę na dobro.

„Młodości! orla twych lotów potęga!“

L. Makarówna V. z.

Zwrotna kartka mego dziennika.

Czuję się silnie podniecony. Skąd przyszło na mnie technienie niepokoju? Dawniejszy szeptycyzm przeradzać się poczyną w coś nieoczekiwanego, dla jego dziwnych powodów i zatrważającego skutku.

Przed godziną jeszcze gotów byłbym do upadłego bronić pozycji niedowierzania, gdyby naprzykład profesor uniwersytetu chciał dowieść mi przyczyny jakiegoś drobnego zjawiska, wchodzącego w skład dziedziny jego specjalności. Obecnie mogę zgodzić się na najbardziej niedorzeczne brednie byle chłystka.

Wzbiera we mnie tkliwość dla całego świata i form na nim istniejących. To, co wpierw było mi brzydkim i obojętnem, stało się obojętnem i pięknem. Pewne zaś zgrupowania barw, temperatur i ciśnień wprowadzać mnie zaczynają w stan, gorączkowych majaceń.

Bawię, że tak powiem, od miesiąca w T. nad Narwią. Każdy dzień wymienionego okresu stawał mi się coraz cięższy bardziej brzemienny w rozczarowania.

Gdzieżeście sny o wzlocie z nad malarycznych trzęsawisk mego środowiska, gdzieś jest złudo o cieple i radości; znikłyście mi, kochane marzenia-pokarmie w chwilach wyczerpania!

Wieżę za wieżą druzgotały mi własne i cudze ułomności Rzeczywistość, przed godziną najbardziej obmażona, ugodziła wkońcu główny gmach. Aż naraz uleciała moja miłość do łagodnych i wysokich dźwięków. Pojąłem rozumem ton trąby i fanfary, prawo wszechludzkie istnienia i sprawiedliwości.

Bracie mój, najmniej mi teraz realny, lecz największy, najbliższy i najpiękniejszy. Czy Cię Anioł Świata, Duch Natury pod tron Swój do gwiazd wywołał, byś kroki memi kierował, bo nadaremnie posyłam od lat błaganie w przestrzeń o zwrócenie mi Ciebie żywym: w ciełe lub tylko w duchu.

Dobrze, iż choć cząstką Ciebie jest ze mną w tej chwili, gdy tak mi jest potrzebny.

Wierzę w spełnienie próśb moich i czekać cię będę dalej. Myślę, że gdy będę rozmawiać z Tobą, tęsknota moja przybierze namacalne kształty. Zrodzi się zapewne na ziemi cud połączenia śladów stóp mych z Twemi.

O jakże spiekleły w obliczu pustyni kwiat pragnie nocnej rosy!

Jakże tęsknię do zaczerpnięcia powietrza, które Ty wchłaniasz, i do walczenia pod Twoim krytycznym okiem.

Chłopiec, który to pisze, stał się już człowiekiem. Świat nasz nie wierzy słowom, nie ufa zapewnieniu o czyjejsz czystości.

Ty pewnie jesteś inny. Mimo to, gdy ziści się wreszcie moje pragnienie, chcę, byś mię surowo ocenił. Przeto narysuję Ci choć w części drogę, którą kroczyłem od dzieciństwa do dojrzałości swej, wyśpiewam czar nocy księżycowej, zatopionej

w srebrnej poświacie, wspartej na wiecznie łamiącej się tafli rzeki i tajemnych gąszczach sitowi. Nocy nie pośród tych hawajskich lub polarnych, najuboższej w barwy, lecz najbardziej nam ukochanej i zniewalającej do zwierzeń...

I czar poranka nadziei, zmartwychwstania w mocy.

Tak, tak - odtąd wszystko dla Ciebie.

Słuchaj przeto:...

(dok. nast.)

Chwila.

(Za oknami wiatr).

Jak smutno... W gardle łzy,
w myśli pustka, wokół żal
beznadziejny, coś jak rozpacz...
Za oknami szara jasność lamp,
strugi deszczu i mdły gwar:
wielkie nic. Czarny liść jak éma
głucho spadł. (Czas się wlecze
patrzac w wieczny swój trakt).
... Bezład ... tępy wzrok słę tam
poprzez mgły, poprzez dale,
w szare nic. Na szybach łzy:
to deszcz. Br... jak zimno,
coś jak dreszcz czuję...
Życie idzie w gorąccze...
Tam przeszłość, różne dnie,
tu nic, czarna dal, tam — wieczność
Za oknami wiatr...
Jaki żal...

O.J.P. k.V.ż.

Jesień.

Smutno mi... Na duszy osiadła bezgraniczna tęsknota za za czemś nieuchwytnem. Idę przed siebie w szary dzień jesienny, owiany czarem melancholji. Idę nieświadoma celu, ot, byle iść. Tak mi dobrze... Całem mojem jestestwem zawładnęła cudna, polska jesień.

Za najmniejszym powiewem sypie się deszcz purpurowo—złoty liści. Składają ziemi jesienne pocałunki. Czasem

przeleci wiatr, zanuci pożegnalną pieśń i ginie wśród drzew. Pomarszczone liście podrywają się w zawrotnym wirze, by po chwili opaść na ziemię, szepcząc żalosną skargę. Niebo zasnutę szaro-ółowianami chmurami przytłacza swą barwą. Od czasu do czasu szara zasłona się rozsunie; świat wyda się weselszy, bo widzi bladą twarz słońca. Prześle ono złoty pocałunek i wnet ginie w zwałach chmur. Dookoła panuje cisza. Czasami w zaroślach odezwie się ptak i wnet milknie. Między drzewami migają czerwone chustki kobiet, zbierających chróst. Zabrzmi nagle wesoła piosenka. Jakże nieodpowiednie są te tony! To jakaś profanacja uroczystej ciszy i smutku w naturze.

Jakaś zabłąkana nie „babiego lata“ uczepiła się mego rękawa. Spojrzałam dokoła. Wszędzie pełno tych srebrnych nitczek. Po szarem niebie ciągnie wolno klucz zapóźnionych ptaków. Złote słońce wyszło je pożegnać...

M. Waczyńska IV ż.

R a n e k.

„Witek, wstawaj!“ Jako odpowiedź słyszy mamusia:—„Już wstaję“. Czas jakiś słysząc moje wstawanie... na drugi bok. — „Wstajesz, czy nie?“ — „Już wstaję“ — przewracam się na trzeci bok i dalej smacznie chrapię.

Dopiero „czynny“ argument wywołuje skutek. Wstaję. Wyglądam przez okno: gdzieś na wschodzie niebo zaczyna lekko różowieć, zwiastując świt. — Wstaje chłodny ranek jesienny. Drzewa owilgłe, oświetlone różowem światłem wyglądają jak zaczarowany świat baśni. Wolno nbieram się i myślę o... fizyce, poczem zaczynam mruczeć:

Gama utemperowana jest to gama... gama, bo ja wiem, co to za gama? Potem przechodzę na gramatykę: — Rzeczowniki męskie, żeńskie, mianownik liczby pojedynczej rodzaju męskiego ma postać tematu z twardą końcówką, a żeński — bo ja wiem, jak tam jest, o męskiej to wlażło do głowy, a o żeńskiej niebardzo; co prawda, powinno być odwrotnie. Co dalej? Dam spokój. Gramatyka i fizyka to mądra rzecz, ale ten, co ją wymyślił, to pewnie po uszy w piekle siedzi, bo sprowadził na ludzi nowe utrapienie (tak mawia Wacio, ten Biały). Trzy godziny pedagogiczności, ale to pójdzie; polski przeczytałem, piszę „cośkolwiek do Pisemka“, dzień mam zapewniony.

Takie myśli krążą po głowie podczas ubierania się (najdłuższa czynność to wiązanie krawatu). Z tych rozmyślań budzi mię głos mamusi: „Witek! na śniadanie!“ Po śniadaniu biorę książki i idę do szkoły.

Kaz. K. IV m.

Krwawe wspomnienia.

(z sierpnia 1920 r.)

Przez zwoje ciężkich chmur błysły promienie zachodzącego słońca. Wieczór zbliżał się szybko i bezszelestnie, obejmując mrokami pobliski las, przecięty smugą górzystej szosy. Kilka promieni słonecznych musnęło w przelocie krawędź drogi, nad którą zamajaczyła część żelaznego krzyża. Tam w tem zacisznem ustroniu ponieśli śmierć męczeńską za ojczyznę polscy robotnicy — patrjoci. Z poza niewyraźnej mgły przeżyć wyłania mi się scena z przed 12 lat.

Przed domem stał mój ojciec i patrzył na grupę osób idących torem.

— Bolek, gdzie idziecie? — zagadnął jednego z nich.

— Na robotę, odparł poważny mężczyzna w sile wieku.

Był to kolega mego ojca, tkacz.

Ojciec w sporej odległości powłókł się za nimi, a ja za ojcem. Było ich szesnastu w otoczeniu „krasnoarmiejców“, prawie wszyscy znajomi tatusia, mieszkańcy Białegostoku. Zeszli z toru, wdrapując się na zbocze szosy. Wreszcie przekroczyli ją i zeszli... — na próg swego grobu. Przenikliwy głos czerwonego zbójki zatrzymał ich. Stanęli bezradni, skamieniali, przeczuwając swój los...

— Kopać doły! — padła komenda z ust kata. Śmiertelna bladeść okryła twarze skazańców. Jeden z gromady, porwany straszną trwogą, począł uciekać. Dopadł krzaków, drzew i biegł na ślepo, by ująć śmierci. Wtem padły słowa komendy:

— Dzierz yjewo! — i ktoś pochwycił zbiega. Przyprowadzono go do gromady, która już wykopała sobie grób. Dowódca oddziału wzniosł szablę i powietrzem wstrząsnął głuchy huk, odbity tysiącnym echem... W kałuży krwi nurzały się ofiary mordu. Niektórzy jeszcze żyli — jednemu z piersi dobywał się głuchy jęk. Niebawem zebrał się tłum nad tą straszną mogiłą. Kobiety poczęły szlochać, mężczyźni podkrywali zwieszane głowy...

— — — — —

Na cichej mogile, wśród grząskiego bagna, stanął prosty, nieociosany, jaśniejący białością kory brzozy, krzyż.

Dziś już niema go tam.

Społeczeństwo białostockie, dla uczczenia tych męczenników wystawiło okazały pomnik z wznoszącym się wysoko żelaznym krzyżem.

Właśnie teraz widzę jego wierzchołek, kryjący się w mrokach wieczoru...

Cz. Sawicki K. II. m.

Bohaterski czyn.

Spędzając wakacje w niewielkiej wiosce Klonowie pow. Radomskiego, byłem świadkiem bohaterskiego czynu tamtejszego naczelnika Och. Str. Og p. J. Raduńskiego

Dzyń... dzyń... dzyń... Budzę się i przerażony wyskakuję z łóżka. Ze dworu przedziera się krzyk: — „Pali się, pali!“ Naciągam na siebie ubranie i wybiegam na podwórko. Zakładają konie do sikawki i wyjeżdżają. Skaczę na wóz; jedziemy na złamanie karku. W parę minut byliśmy przy ogniu. Całe zabudowania gospodarskie w płomieniach. Co za wspaniały, a zarazem groźny widok! Budynki, jak ogromna pochodnia, zieją morzem ognia. Wokół słychać płacz, narzekanie, i jakaś dzika rozpacz widnieje w obliczach. Kobiety rwą włosy, załamują ręce, aż trzeszczą w stawach. Nagle jedna z nich przepycha się przez tłum, leci do ognia, do palących się budynków i krzyczy rozpaczliwie: — „Jantoś, mój Jantoś!“ Jeden ze strażaków (właśnie ów naczelnik), na ten krzyk pełen rozpacz, biegnie do niej, rzuca w ręce ludzi, wołając: — „Trzymajcie ją“ — skacze do ognia i przez wybite okno wchodzi do mieszkania. Ludzie zamarli w przerażeniu, wstrzymali oddech; kobiety przestały płakać, i wszyscy w napięciu patrzą w okno. Ogień rozszalał się i coraz bardziej potężnieje. Wtem rozległ się trzask i zwałił się sufit w budynku mieszkalnym. — „Zginał!“ — krzyknęli wszyscy. Ale nie! Ukazał się. Z drugiej strony walącego się budynku wyskoczył i niósł dziecko. Matka, jak szalona, skoczyła do niego i porwała swój skarb. Bohater, usmalony i poparzony, odszedł spokojny i cichy. Poszedł pełnić swą strażacką powinność. I widzieli go wszyscy, jak pracował, ratując dalsze zabudowania przed pastwą płomieni.

J. S. IV m.

Jak lud pojmuje niektóre zjawiska.

(wspomnienia ze wsi).

Tegoroczne wakacje spędziłam częściowo na wsi Protasy, niedaleko Zabłudowa, u wujostwa. Był tam stary, pamiętający turecką wojnę „dziećko“.

Widział, że czytałam (myślał pewno, że jestem nadwyzajnie mądra), zaglądał więc do mnie przez drzwi raz, drugi. Po wyrazie twarzy czułam, że chciał porozmawiać ze mną, a nie miał odwagi zapytać.

Oderwałam się więc od czytania, odwróciłam głowę w jego stronę i zagadnęłam go o coś. „Dziećko“ rozhuścił kołyskę, żeby dziecko przez dłuższy czas nie płakało, i zapytał:

„No, ty żesz uczysz się, powiedz mnie, skąd to bierze się woda (padał wtedy deszcz) i gdzie ona idzie?“. W to, co mu powiedziałam, nie uwierzył: — „Moc Boska wszystko to daje; morze jest nad nami i morze pod nami“.

Rozmowa nasza szła niezmiernie „kołowato“, gdyż nie mogłam dobrze przystosować się do dziadkowego „po prostemu“. Potem, gdy doszło do obrotu ziemi, za żadne skarby nie chciał uwierzyć, że to ziemia obraca się dookoła słońca, a nie odwrotnie.

— „Jakto, mówił, tożby się woda w studniach powylewała, a góry lodowe, tam na północy, tożby przyszły do nas i stopiły się. Ja wiem, mnie mówili. Oho! Nikt boskiej mocy nie pozna!“.

Dowodzeniom dałam spokój. Niech ten poczciwy, zasłuchany w plusk deszczu i filozofujący staruszek wierzy po swojemu, a będzie szczęśliwy.

Na uwieńczenie naszej rozmowy powiedział:

„Gospodarska krowa lepiej pozna kiedy deszcz (bo się zawczasu chowa do obory), aniżeli „aproloma“ głowa“.

(„Aprolomem“ miał być astronom).

F. Samiejkówna V ż.

S t r a c h

Słońce chyliło się ku zachodowi. Jak przyjemnie o tej porze iść przez las, gasząc pragnienie soczystymi poziomkami. Nie pamięta się wtedy o odległym celu podróży, o zbliżającym się wieczorze i o chmurach coraz bardziej zasłaniających niebo. Naraz, daleki grzmot przywołuje mnie do

rzeczywistości. Odrzynam się od poziomek i przyspieszam kroku. Mijam szybko nieliczne zabudowania leśniczówki, oganiając się psom, atakującym zajadle. Przez umysł przelatuje myśl, czyby nie zostać na noc w leśniczówce. Może to strach przemawia? Nie może być. Byłem przecież na obozie. Idę dalej. Uszedłem ze trzy kilometry od leśniczówki. Niebo przybrało kolor stalowy. Zrywa się silny wiatr i strząsa ze zwału chmur olbrzymie, zimne krople deszczu. Mrok. Drzewa przy drodze zlewają się w bezkształtną masę. Nagle błyskawica przecięła ostrym zygakiem wzburzone sklepienie niebieskie. A potem długi, przeciągły grzmot. Całe strugi wody chlusnęły z góry. Chowam się pod świerk. Deszcz przycichał, to znów z gwałtownością zrywał się, jakby chciał powetować stracony czas. Błyskawica następowała po błyskawicy. Grzmoty złyły się w jeden przeciągły huk. W chwilach, gdy deszcz przycicha, zrywam się z pod drzewa i pędem biegnę drogą. Byle bliżej do domu, byle bliżej... Dlaczego nie nocowałem w leśniczówce? Dlaczego nie poszedłem przynajmniej szosą? Możebym spotkał ludzi. Czyżby znowu on? Strach? To za wiele. Naprzekór temu włożę pod drzewo i postanawiam nocować. Siłą woli próbuję zapomnieć o przykrej sytuacji. Próbuję bawić się w uczonego i badać rodzaje błyskawic. Wreszcie postanawiam zasnąć. Ale chłód przejmujący nie pozwala na to. Zęby szczękają z zimna. Zrywam się, łamię suchą gałąź (pewnie będzie) i idę poomacku drogą. Wychodzę na pole. Krzyż przydrożny skrzypi pod drzewem przeraźliwie. Próbuję gwizdać jakieś dzikie melodje. Pędem przebiegam obok cmentarza i kaplicy, starając się nic nie myśleć...

Przyszedłem do domu nad ranem, przemoczony kompletnie.

W. R. IV m.

Nasze synonimy.

Wszystko stało się okropnie prędko. Ktoś przyniósł na kurs plikę „Młodych Myśli“ wrześnieowych i zaraz już je każdy czytał (właściwie to czytał tylko spis treści). Po chwili wszczął się ogólny śmiech i hałas, porywając tych nawet, którzy ponad wszystko cenią powagę. Dwum tylko naszym kolegom musiało być ogromnie przykro. Najgorzej było temu, który podpisał się w gazetce jako „szczwany lis“, będący teraz głównym przedmiotem śmiechu. Drugi, „Lewoń“, mniej trochę

ucierpiał, ale i ten uśmiechał się jakoś niewyraźnie. I teraz jeszcze te nieszczęśliwe synonimy przynoszą wiele kłopotów swym właścicielom. Najgorsze jest to, że ów „szczwany lis“ niczem nie przypomina nawet pospolitego lisa. Z „Lewoniem“ nie jest lepiej. Bo cóż właściwie znaczy to słowo „Lewoń“? On sam mówi, że jeszcze nie wie. Teraz podobno zamierza ogłosić się Leonem. Oby to nastąpiło jak najprędzej. Jest jeszcze jeden pseudonim w tem pisemku, ale właścicielką jego jest już koleżanka. Z tego widać, że uczucie wstrętu do własnych nazwisk grasuje nietylko u nas. Oto ów pseudonim: Ziuta, V k, „panieński“. Brawo Koleżanko Ziuto z „panieńskiego“ kursu! Brawo, że lubisz być dowcipna! Chciej tylko wysłuchać mego zarzutu i spróbuj go odeprzeć. Do pomocy możesz wezwać „chytrego lisa“, który ci chętnie pomoże. Otóż celem istnienia na świecie pseudonimów jest chęć ukrycia własnej osoby z jakichkolwiek powodów. Kto go używa na łamach jakiegoś pisma, chce być osobiście nieznanym. A nasze pseudonimy nietylko nie osłaniają autora, ale narażają go jeszcze na śmiech.

Poco więc te maski?

Br. R. k. IV m

Czytelnia a my.

Każdy z nas chyba doskonale rozumie, jak doniosłe znaczenie w życiu szkolnem ma czytelnia. Jest to źródło wszelkich wiadomości: z kraju, ze świata i naukowych. Czytanie pism pogłębia wiedzę zdobytą w klasie, oraz informuje o wszystkich dziedzinach życia naszego państwa: o polityce, gospodarstwie i kulturze.

Nie będę wypisywać wszystkich korzyści, jakie daje czytelnia, gdyż wszyscy napewno o nich wiemy. Chcę tylko poruszyć sprawę niecierpiącą zwłoki. To nasze zachowanie się w czytelni. Jest ono okropne! Koleżanki i koledzy przychodzą często do czytelni nie poto, aby czytać, lecz aby gawędzić z sobą. Są znowu tacy, co przy czytaniu nie mogą wytrzymać, by nie wyrażać swych myśli głośno, i to myśli nieraz bardzo niemądrych. Dyżurna prosi o spokój raz, drugi, trzeci... dziesiąty — nic nie pomaga. Jeszcze nieraz usłyszy „przyjemne słówko“ za zwrócenie uwagi. Jednem słowem, atmosfera aż zanadto przyjemna. Przez takie zachowanie się podczas czytania przeszkadzamy sobie nawzajem, czyli sta-

jemy się niekoleżeńscy. Pośród czytających znajduje się może 20% zachowujących się odpowiednio. To jest nieprawdopodobne, a jednak tak jest.

Czy nie mogłoby być inaczej, lepiej? Trzeba tylko trochę dobrej woli i zastanowienia nad właściwym celem czyteln!

M. S. III ż.

Uderzmy się

Zdażyliśmy już wdroić się w wir wypracowań „z lekcji na lekcję“, klasówek, resumés, zbiorów, zebrań i nieodstępnych towarzyszek—dwój.

Szczególnie ostatnie upodobały sobie nasz „panieński“ kurs. Koniec świata był tego dnia, w którym otrzymaliśmy podręczne zeszyty z polskiego. Nosiło się lube nadzieje, bo z wiekiem i rozumu musiało przybyć, i styl z powodu używania jęzorka na wakacyjnych wywczasach musiał się wyrobić, i błędy poszły na „na suche lasy“, a przecinki? — przecież to głupstwo. Więc ciekawość, nakazująca „poważnej“ naszej przodowniczce chodzić na każdej z pauz po owe nieszczęsne zeszyty, była... słodka. Wielkie nieba srodze nas pokarały za „niemoralne“ myśli (o dobrym stopniu!) i natchnęły Pana Profesora wielką szczodroblivością w sypaniu dwójami.

Pan Małek (porównywany do rzymskiego senatora) lituje się ciągle nad naszą naiwnością i także dwój mi żałuje.

Nawet nasza kochana Madame znacznie się popsowała i nie ma żadnych względów dla naszych biednych głów, przez które francuski przepływa falą lekką i nie pozostawiającą głębszych śladów.

A przecież matura blisko!

Gdzież giną wszystkie dobre rady i mocne postanowienia? Gdzie się podziewają rzeczy przedtem umiane? Umiane! Uderzmy się w czoła! Nie jesteśmy ograniczone, dobrej woli nam nie brak. Niestety! zapały—zapały słomiane. Szlachetne zamiary „wzięcia się“ do najbardziej znienawidzonych przedmiotów, lub odrobienia zaległości kończą się na zamiarach. A groźba matury wisi nad nami i wielki znak pytania dręczy piątokursistki „panieńskie i z koedukacji.“ Teraz sobie mówimy: Byle do Wszystkich Świętych, patronów każdej z „dobremi“ zamiarami „przedmaturzystki“ Do Wszystkich Świętych!

A wtedy zacznie się wchłanianie najsubtelniejszych wiadomości i używanie słownika ortograficznego przy każdej nadarzającej się sposobności, nawet przy pisaniu listu do najzafuśszej przyjaciółki. I wtedy przyjdzie rozważa.

J. Kosakowska V „panieński“

„Pioruny“

Serwus, Publika! Pragnę z państwem pogadać.

Więc (tem słowem zaczyna się zwykle rozwijać niebardzo opanowane zagadnienie), jeżeli „Młoda Myśl“ ma odzwierciedlać nasze życie, należy trochę wspomnieć o „Piorunach“. Jest to organizacja nie dająca się zaliczyć do żadnego typu — tak jak „dziki“ poseł. Ale jeżeli istnieje gdzie w świecie idealna kooperacja, to chyba tu; tylko „Pioruny“ nie lubią się afiszować (przez skromność). Między sobą żyją bardzo zgodnie, wprowadzając w życie hasło mickiewiczowskie: „Razem, młodzi przyjaciele!“ Proszę jednak nie myśleć, że to są jakieś „zasuszone społeczności“ O, nie! „Pioruny“ są to jednostki niepospolite, pierwszy raz zjawiające się w naszej szkole. Równie niepospolita jest ich organizacja.

Dawniej było 8 osób na jednakowych prawach. Obecnie sprawa się skomplikowała. Jest trzech członków stałych, jeden niestaty, i „Subtelny dodatek“ z prawem reelekcji. Wszystkie „Pioruny“ mają specjalne, niepospolite zdolności i swoje nazwy: „Zawieszony w koedukacji“ (zdolności w pendzlu), „Matematyczne łapy“ (sama nazwa wskazuje na jego specjalność), „Lopu“ (niepospolite zdolności pióra, określone przez wyższą instancję jako „nd“ w zeszycie podręcznym), „Nieman“ (ładnie się nazywa — prawda?; zawinął uzdolnienie w kostjum gimnastyczny i jest z tego zadowolony), i wreszcie „Subtelny dodatek“, który z nadzwyczajną niewinnością i wprawą podbija serca „płci mocnej“.

Nie myślcie jednak, że im tylko krotochwile w głowie. „Pioruny“ łąją tak mocno, że aż odczuwają braki ilościowe w astronomicznej dobie na zbieranie mądrości do matury. Mają one w swoim posiadaniu „Księgę piorunową“, która będzie przekazana pokoleniom młodszemu (jak nie w rzeczywistości, to w wyobraźni), po złożeniu matury, bo „Pioruny“ chcą rozsiewać radość życia po całej szkole.

Ziuta V kurs „panieński“.

Przyszłość.

Dziś w szkolnej ławie i przyjaźń i zgoda —
Serce i myśli wspólnym węzłem spleta,
Lecz kiedy przyjdą inne w pracy lata,
Czy jeden z drugim ręce sobie poda?

Czy też powiedzą sobie: przyjacielu!
Czy będą razem śnić wspomnień obrazy,
Wskrzyszając chwile jasne i bez skazy,
Gdy wszyscy w pracy szli razem do celu?

Ach! Dziś przyjaciół otacza nas grono,
Lecz wiem... czas wszystko niweczy i zmienia —
Chwile dzisiejsze gdzieś znikną i spłoną,
I pozostawią tylko czar wspomnienia...

I oto moje serdeczne życzenie:
Kiedy przeminą chwile w szkolnej ławie,
Oby nie znikły one, jak te cienie,
Albo marzenia we śnie lub na jawie.

Niechaj ta przyjaźń i ta miłość nasza,
Która nas dzisiaj silnym węzłem spleta,
Nie ginie marnie, niech się nie rozprasza,
Kiedy przeminą w „budzie“ szkolne lata...

Steś IV m.

P r a c a

Godzina trzecia rano. Jeszcze kur nie piał. Zaledwie ciemność nocy zaczęła się zamieniać w nieuchwytną biel świtu, już trzeba wstać do pracy. Powieki ciężkie, niby ołowiane, opadają na senne oczy, głowa podnosi się i opada momentalnie zpowrotem na posłanie. Ale nie! Jedna chwila — i jest gotową do pracy. Z kromką chleba w jednym, a sierpem w drugim ręku idzie się na łąn, by za chwilę pochylić się nad dojrzałym żytem, i żąć, żąć bez wytechnienia aż do zachodu słońca.

Słońce podnosi się i praży niemiłosiernie. Ręce mdleją, w krzyżu boli. Pot zalewa oczy. Nareszcie południe. Chwila

posiłku i spoczynku w skąpym cieniu snopów. A potem znów do pracy, aż do zachodu. Słońce opada i mniej praży, mniej wyciąga potu, ale zato w uszach szum, w skroniach łupanie od ciągłego nachylenia. Sierp biega po polu nerwowo, raz szybko, to znów leniwie. Ból w krzyżu nie pozwala wyprostować się i nadaje ci kształt kabłąka. Wreszcie słońce zapada. Purpura okrywa zachodnią połąć nieba.

Skończył się dzień pracy.

H. Bołbatówna VI z.

Ulica w Białymstoku.

Ślizgam się wzrokiem po zapełnionej ulicy, ale bezmyślnie, jak gdyby świat spostrzeżeń nie miał żadnej nici łącznej z dziedziną uczuć i myśli.

Jeżdżę wzrokiem po dużym i ładnym gmachu, gdzie się mieści „Café-Lux“. Sunie się wzrok od prawie płaskiego dachu tego domu, poprzez odrapane, szaro-zielone ściany, do olbrzymich lustrzanych wystaw, które się wprost łamią od najprzeróżniejszych w barwie i smaku cukrów.

Szybko jak myśl przeleciał dreszcz przez podniebienie (bo któż nie lubi słodczy?...).

Wędruję po lśniącej ręczce wejściowych drzwi. Wchodzą, wychodzą...

Przez olbrzymie okno widzę pana, który od pół godziny siedzi nad gazetą i szklanką czarnej kawy, dziwacznie marszcząc czoło.

Pod oknem stoi kilku, może siedmioletnich wyrostków, pocieszenie wykrzywiając buzie do wnętrza kawiarni.

Gdyby ktoś nagle przyszedł, zakrył mi oczy i zapytał: „Coś widziała naprzeciw“? — nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Dopiero przeraźliwy ryk taksówki, tuż pod samem oknem, wyrwał mię z odrętwienia i skierował uwagę na ulicę.

Przez jezdnię ciągną dorożki, samochody prywatne i motocykle z denerwującym klekotaniem...

Chodniki dosłownie nabite ciżbą ludzką, co płynie leniwo, niby jakaś gęsta, oleista ciecz.

Na kamiennym krążku stoi policjant.

Wzrok skupiony, brwi ściągnięte w natężeniu, jak jedna czarna kresa przedzielająca czoło. Motorów warkot, szum rozpędzonych, gumowych kół, ostre, tnące powietrze głosy syren — to pieśń jego życia.

Tłum świątecznego popołudnia, Tłum... Jednostka ginie. Mechanizm życia, kołowrot czynności i wypadków...

Patrzę na ulicę, ale nie wiem czemu tak mi dziwnie smutno... Rozstrzępiona myśl roi o jakiejś wielkiej mocarnej sile ducha, coby szybszym rytmem poruszyła mechanizm świata...

Hermana Łotowska III z.

Z nocnej wycieczki żeńskiego hufca P. W.

Deszcz leje jak z cebra — ale to nie przeszkadza nam wyruszyć na wycieczkę do lasu. Należymy przecież do organizacji wojskowej, jesteśmy zahartowane. Cóż znaczy deszcz wobec niewygód, które wypadnie może znosić w polu? Nie pomogły słowa perswazji, myśmy stały przy swoim jak mur!

...A deszcz wciąż pada. Co chwila wygląda któraś przez okno. Nie tracimy nadziei, uparcie twierdząc, że wycieczka odbyć się musi!

Wtem ustaje pluskanie krople deszczowych o szyby. Ukazują się zbawcze skrawki jasnego nieba, chmury pędzą w dal... pogoda!

„Na wycieczkę, miły bracie“, wyrывa się śpiew i z hałasem jak stado słońi walimy przez korytarz do szatni gimnastycznej po plecaki. Promieniejemy radością — wszak mamy odbyć pierwszą nocną wycieczkę.

W drogę! Wszystkie w zielonych mundurach P.W. wyruszamy dwójkową kolumną ze szkoły. W powietrzu „wisi“ niepogoda. Ale to nic, byle dalej odejść od szkoły, już nas nie wróca! Pokonywamy zdradzieckie doły uliczne pełne błota i wydostajemy się na szosę Warszawską. Stąd już niedaleko. Idziemy czwórkami, miarowym krokiem, i śpiewamy. Czujemy się dobrze i swobodnie. Na niebie konają blaski słońca, fiolety rozpościerają się nad ciemnymi konturami lasu.

Doszliśmy do leśniczówki i w dwóch stodołach „rozbiłyśmy namioty“. Wtem: „Baczność! W dwuszeręgu zbiórka!“ Włosy stanęły dęba: w nocy do lasu?! Ha, rozkaz, trzeba iść. Piorunem przesadzamy rozmokły grunt i idziemy w las, gawędząc.

(Marysia nie wyobraża sobie, jak to ona będzie stała w lesie — sama — na stanowisku. Ona nawet z mamusią boi się w ciemnym pokoju!)

Dochodzimy do celu. Będzie gra polowa. Zabawa w wojско — bajeczna rzecz! Rozstawiono nas na stanowiska — w porządnym od siebie odległościach, Są posterunki, czujki i te trzecie (nie wiem, jak je nazwać), mające przejść niepostrzeżenie przez czujki do posterunków. Trudne zadanie przedzierać się przez mokre jałowce, Można skórę z nosa zadrzeć w ciemnościach. — Słysząc gwizd. Gra rozpoczęta. Od czasu do czasu słysząc: Stój — stać! Brzmi to w ciemnościach tajemniczo i ponuro. Przyczajone czujki dobrze spełniają zadanie. Wreszcie gwizdki oznajmniają koniec gry. Idziemy w stronę smugi światła latarki p. Komendantki. Przychodzimy zmoknięte, ale gra udała się! Jedna z nas ma odprowadzić hufiec do leśniczówki. Mężnie (ale z lekkim drżeniem tydek) prowadzi hufiec wśród mroków nocy. Znowu podła glina! Dwie szeregowie staczają się do jakiegoś dołu, ale wstają zaraz bez szemrania.

W stodole — ciepła herbata. Rzucamy się do kotła (ale nie do środka) po ten boski napój.

Potem ognisko na skraju lasu — najmiłsza chwila wy-cieczki. Łączą się nasze myśli i uczucia. Ogarnia nas płomień miłości ojczyzny. Czujemy w sobie hart polskiego dwiła!

A. Romanowska IV z.

Przyrzeczenie.

Noc ciema, burzliwa. Wiatr świszcząc i wyjąc, wprawia w piekielny tan wierzchołki drzew. Niebo kłębi się zwałami czarnych, potwornych chmur. Wśród błyskawic ogni, huku trzasku łamanych gałęzi drzew, nad zalanem ogniskiem — cztery druchny składają przyrzeczenie. Wiatr targa mundurkami, łopocze sztandarem, zrywa okrycie z głów, rozwiewa włosy i tarzając się po ziemi, zasypuje nas zimnym, wilgotnym popiołem. Niby naprzekór naturze wraz z jej walką żywiołową, lecą w świat słowa przyrzeczeń:

Mam szczerą wolę całym życiem pełnić
służbę Bogu i Polsce, nieść chętną
pomoc bliźnemu; być posłuszną
prawu harcerskiemu.

Słowa te niesie w dal wiechura... Oto cztery pełne za-pału piersi młodzieńcze rzuciły rękawicę złu świata! Sztan-

dar się podniósł i dumnie spojrzał w czarną otchłań nieba, a od stóp jego wzbiły się słowa hymnu: „Nie rzucim ziemi...” i popłynęły z wiatrem powtórzone kilkakrotnem echem lasu. Niżej szalało jezioro łączące dwa narody, Polskę i Litwę. Biło bałwanami o stromy brzeg wzgórza i wdzierało się nań pianą fal.

H. Bołbatówna IV ż.

Wspomnienia z wieczorku.

Dnia 9-X odbył się wieczorek kursów II-gich, nad którym pracowała już od kilku dni specjalna komisja. Już w sobotę zaczęliśmy się przygotowywać, czyniąc w internacie ruch nieopisany. Jedni z kolegów prasowali „na kant” spodnie, drudzy koszule, kołnierzyki i krawaty. Przy tej pracy było pełno gwaru i śmiechu. Każdy układał sobie plan przyszłych rozmów z koleżankami i obiecywał tańczyć do upadłego. Dopiero koło północy zdołał pan Wychowawca zapędzić wszystkich do sypialni. Wszyscy zasnęli błogo uśmiechnięci. Naza jutrz, jeszcze przed pobudką, cały kurs był już na nogach. Z wielkim trudem przetrwaliśmy do godziny 4 po południu. Zeszliśmy wreszcie do sali „balowej”, gdzie ku wielkiemu naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy pustki. Dopiero po upływie $1\frac{1}{2}$ godziny zaczęły przychodzić nasze „damy”. Każda z nich jakoś ładniej niż zawsze wyglądała. Wszystkie panie były rumiane, pewnie z radości! Zaczęły się po kątach ciche rozmowy i śmiechy. Koledzy siedzieli w jednym kącie, a koleżanki w drugim. Powoli zaczęli się do siebie zbliżać, rozmawiać i nawet flirtować. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że wieczorek miał trwać tylko 4 godziny, a tu czas w towarzystwie upływa z szybkością błyskawicy. O 7-mej była w internacie kolacja, która trwała bardzo krótko, gdyż każdy śpieszył do przerwanej zabawy i do koleżanek. Ostatnia godzina była najprzyjemniejsza. Każdy „rozbawił” się na dobre. Wkrótce jednak p. Pawlak dał znać, że koniec zabawy nadszedł. Żal było opuszczać salę i towarzystwo, czego dowodem są wspomnienia, które zostaną na długo..

W. Błoszko kurs II m.

„Jak to było na V żeńskim“

Z powodu liczebności tego rocznego V kursu żeńskiego, postanowiono, że część dziewcząt ma pójść do chłopców i stanowić razem z nimi kurs koedukacyjny. Jak to było, opowiem.

„Truda, mówię ci szczerze, idę do szkoły z sercem drżącym i pełnym lęku! Brz... okropnie, jak pomyślę o tem!“ Tak medytowała długowłosa Hela na myśl o tem, jak spojrzą na nią „drugoroczną“ te Miss Polonje, w osobach Marysi, Reni i Kazi, no i w obawie przed rozłąką z Trudą, Sabinką, i wogóle z „drugorocznymi“. Ta obawa męczyła najwięcej. Brzemie Heli było tak ciężkie, że westchnęła ponownie i rzekła: „Ach, to jest okropne, że mnie od ciebie odłączą, a że tak będzie, przeczuwam najmocniej. Pamiętasz, umówiliśmy się siedzieć na drugiej ławce, w środkowym rzędzie, i wyprzedzić Miss Polonje w nauce. No, i nie będziemy już razem! Każda będzie promieniować na innym kursie“. Z taką obawą nosiła się Hela już trzeci dzień...

Przeznaczenie jednak chciało, by nareszcie ukrócić mękę Heli (i wszystkich zresztą piąto-kursistek).

Do sali geograficznej, gdzie się zebrał cały V-ty żeński, Miss Polonje i niedoszłe absolwentki (a było ich aż 10), wchodzi p. Zofja z listą. Każda wstała machinalnie, potem znowu klapnęła bez namysłu na krzesło. Widać było zdenerwowanie, niezwykle ruchy, grymasy twarzy, załamywanie rąk, a nadewszystko górował pisk Irenki—łobuza: „Proszę Pani, ja nie pójdę do chłopców, mnie i tutaj dobrze“. Z pośród gwaru wynurzały się też głosy tych, co to „zimują“: „My chciałybyśmy wszystkie razem być u chłopców“. Nie słuchając ani Irki, ani nas „zimujących“, p. Zofja mówi krótko, przyzwyczajona do komendy: „13 dziewczynek od początku alfabetu pójdzie do chłopców, już!“ (To „już“ powiedziała ze specjalnym naciskiem.) Dopiero wszczął się pisk. O, pisk to jeszcze nic, ale panny, które niedługo będą nauczycielkami (a może małżonkami), zaczęły nadobrze desperować i płakać. Płakała więc Irka-harcerka, wiecznie uśmiechnięta; nie żałowała łez, bo wiedziała, że niemi kruszy się najtwardsze serca. Chodziła też do p. Zofji i błagała, żeby się wstawić do p. Przełożonej, bo samej strach iść (Stacha już była i dostała bure). Trzy przerwy Irka straciła na rozmowie z panią i na próżno. Fil płakała nietylko Irka. W niemniejszym kłopotcie była piękna Marysia, która twierdziła, że „u takich s..... y nie chce się uczyć“. Płakała Janka i Stacha... Janka nawet,

uparłszy się, nie poszła na kurs koedukacyjny i siedziała na „czysto żeńskim“ kursie dwa dni. Poskutkowało porządna bura od p. Dyrektora i „Kaniusia“ musiała odmaszerować do kolegów (usiadła nawet zaraz z kolegą, pomimo uprzedniej desperacji). Podobnie działo się z koleżanką G. Oprze się i nie pójdzie na męski kurs! Dosyć ma chłopców, w tym roku będzie solidną firmą. Pełna dobrych myśli przesiedziała na żeńskim kursie 3 godz. i przeładowana radością idzie do domu; wtem odwraca się, a tuż stoi p. Dyrektor z groźną miną. Ta mina powiedziała o wszystkim. Trzeba było udać się do p. Przełożonej i usprawiedliwić, co niezawsze należy do przyjemności (nie obeszło się to naturalnie bez łez). Dzisiaj kol. G. czuje się zupełnie „morowo“. Mówiła mi ostatnio: „Jużbym nigdy do was nie wróciła“. Wśród tych łez i narzekań nie brakło też i radości. Najwięcej cieszyły się dwie Helenki: jedna o klasycznym profilu (którą Halszką nazywamy) i druga... długowłosa Hela (ta desperatka!) Obie znalazły się na koedukacyjnym kursie. Ja zostałam na żeńskim i patrzyłam na nie okiem zazdrosnem...

Ge-Ka. V żeńs.

Wrażenia z wystawy.

Na czas od 1-go od 9-go b. m. urządzono w gmachu wojewódzkim wystawę ruchomą „Prób“ i wzorów przemysłu Krajowego“. Była ona odzwierciedleniem przemysłu z całej Polski, głównie jednak z okolic Białegostoku. Ekspонатów ciekawych było dużo. Zachwyt budził rower nowoczesny, tak zwana balonówka, wokół którego zgromadzili się czciciele sportu kolarskiego. Bardzo ładny kiosk wystawiła Elektrownia Białostocka, jak również piękne ekspozycje dała mennica państwowa. Kaskady śmiechu budziły lustra deformujące wszystkie postacie. Płeć piękna bardzo starannie omijała te lustra, aby swojej postaci na szwank nie narazić. Zato my używaliśmy sobie, wyśmiewając się wzajemnie. Nasze koleżanki szczerze grupowały się koło stoiska z kosmetykami. Każda wyciągała ostatnią złotówkę i oddawała na krem odmładzający „Halina“ (jakie one stare!) Inne, bardziej urodziwe, kupowały olejki perfumeryjne i inne kremy „neige de fleurs“. W innym końcu sali, koledzy podziwiali butelki za szkłem. Kilku wielbicieli „szklanego boga“ stanęło tam i dokonywało skrupulatnych oględzin. Bardzo okazałe przedstawiał się dorobek sportowy

Białegostoku w postaci nagród zgrupowanych w osobnym pokoiku. Widzieliśmy tam puchary tak „grzeczne“, że Zagłoba nie powstydziliby się pociągnąć z nich węgryzna. Ciekawe pod względem psychologicznym były prace umysłowo chorych z Choroszczy. Były tam m. i. obrazy malowane przez chorych, niektóre z niemałym artyzmem.

Wychodziliśmy z wystawy opakowani ulotkami. Niektóre koleżanki paradowały po korytarzu w szalikach kupionych na wystawie za 20 gr. Ogólnie mówiąc, wystawa dała nam dobre wyobrażenie o przemyśle istniejącym na terenie naszego miasta (Na wystawie np. dowiedziałem się o firmie, która produkuje aparaty filmowe, a która istnieje w Białymstoku od 30 lat). Wystawa także zapoznała nas poglądowo z pojęciem patriotyzmu gospodarczego.

Kaz. K. IV m.

Wieczorek towarzyski IV ż. i IV m.

Płyną senne tony walca, wygrywanego przez kol. Freda, człowieka o nieprzeciętnych zdolnościach. Dziwny to pianista! Raz po raz dłoń o artystycznych palcach odrywa się od klawiszy, dając na policzek prawy, względnie lewy. (Proszę nie myśleć, że w ten sposób taktuje, nie, wszystkiemu winne zęby!)

Rozbawione towarzystwo nie, spostrzega luk w melodji (słusznie p. prof. B. ubolewa nad brakiem artystycznych dusz). Błyszczą oczy różnych barw i odcieni, szerzą się wesołe śmiechy. „Czwarta żeńska i męska“ bawią się „całą gębą.“ Doborowa orkiestra rznie najnowsze przeboje z „Katuszą“ na czele. Od czasu do czasu odzywają się kastaniety. To kol. Fred zgrzyta obolałym uzębieniem, klepiąc się „namiętnie“ po spuchniętej twarzy. Roztańczonym parom to wcale nie przeszkadza, ba, nawet pomaga.

Kol. Fryda, czerwona jak burak, kręci się z Luisem spoglądając roziskrzonym wzrokiem na kol. Stefa (człowieka o zdolnościach poetyckich) podpierającego ściany. Kol. Luis chcąc się zemścić na obojętnej partnerce, posyła ogniste spojrzenia kol. Stasi, płoniącej się pod tym wzrokiem.

Kol. Szymek, objawszy rolę wodzireja, huczy potężnym basem: — „Panowie, kółeczko, panie do śródeczka!“ — i zamiast przepuścić je, każe przeskakiwać przez opuszczone ręce. — „Też wybryk młodości“ — słysząc poszczególne głosy, ale ogół jest „i owszem.“ — „Panie w prawo, panowie w lewo“ — grzmi wodzirej.

Nagle wybucha prawdziwy huragan śmiechu. Co się stało? Oto na środku sali, w blasku lamp leży kawałek obcasa ze świecącą się „żabką.“ Chi, chi.... śmieją się koleżanki, a biedny obcas kurczy się pod groźnemi spojrzeniami kolegów. Muzyka przyprowadza wszystkich do porządku. Przełwana na chwilę zabawa „idzie dalej.“

Dziwi wszystkich brak nietańczących (z których słyszą nasze bale). Kol. Kazik tańczy, ale bardzo nieśmiały, wołał skryć się w internacie, niż uchodzić za nietańczącego.

Nie brakło też małych konfliktów. Naprzykład kol. M. płynie wsparta na ramieniu kol. Władzia. Wtem czuje, że kol. tańczy na swój sposób, a ona na swój. Jednem słowem kombinacja „weftę i weftamte“. „Zdaje mi się, że prędzej góra z górą się zejdzie“ — mówi kol. M., marszcząc krucze brwi. Kolega uśmiecha się, balansując dalej. Po skończeniu rozchodzą się bez zwykłych uśmiechów.

Zabawa dochodzi do końca, co najbardziej odczuwają muzykanci. Kol. Fred klepie się po twarzy coraz silniej, a gra coraz słabiej. Skrzypce kwilą jak niemowlęta. „Finish!“ W przymglonych źrenicach pań przejawia się żal za minionym wieczorem. Panowie wachlując się, ocierają spocone czoła.

Pustoszeją sale, gasną lampy i tylko w mroku lśnią białe klawisze i stalowe gwoździe oderwanego obcasa. „Obaj zmachaliśmy się setnie“ — płynie cichuteńki szept wśród cieni nocnych....

M. Waczyńska IV z.

Kronika wrześniowa

Kurs V koedukacyjny.

... Dotarłszy do kulminacji, słońce westchnęło z ulgą i rozejrzało się.

Od ziemi przynosił urwis-wietrzyk jakieś wesołe, a tak znane dźwięki, że się słońce co rychlej w tę stronę obróciło i pilnie uważać zaczęło. — Co tam się u nich dzieje? — dziwiło się, — Oho!..., chyba to nikt inny, tylko V-ty męski z Seminarjum koncert daje! — przypominało i ciekawie zajrzało przez okno. A oni nic, tylko skaczą, przytupują i co chwilę: „Wiwat Wiosna!... Niech żyje Wiosna!...“ — ochoczo wykrzykują. Stuknęło się słońce w łysinę i już leciało sprawdzić u wielkiego czarodzieja — Kalendarza, gdy sobie przypomniało, że

jesień dziś rano świat złościła. — To od tych nauk im się w głowach źle zrobiło! — westchnęło smutnie i dalej się przyglądało. — Hm!... jeśli mnie oko nie myli, to wśród nich jest jakiś „nowy“, — zauważyło. Istotnie pośród znanych mu oddawna wiskusów widniała dorodna postać młodzieńca. Uśmiech jego był jasny i szczery. Tak tylko Wiosna uśmiechać się może. — Szymon Wiosna!... Uśmiechał się jasno, ale jakoś smętnie, jakby przeczuwał, że mu niedługo być wśród tej gromady. Niezadługo też zabrali go do wojska. I płynęło życie na V-tych męskim szczęśliwie, do chwili, gdy doszła do nich wieść straszna, że lud niewieści z V-tego żeńskiego ma wkrótce na nich napaść, gminę podbić, skarby gminne zabrać, a terytorjum skolonizować. Chytrze się też do dzieła zabrały. Od niepamiętnych czasów zalały V-ty męski powodzą zalotnych minek, uśmieszków i zabójczych spojrzeń, by najpierw oszłomić a potem dobić. I byłby lud męski uległ niewiastom, bo wiadomo, że serca mają jak wosk czułe. Jeden z nich tylko nie ufał niewiastom, bo kiedyś boleśnie odczuł na sobie ich „słodką przyjaźń“. Pilnie więc ich zamiary zbadał i na światło dzienne wy dobył.

Porwały się tedy obie strony, chwyciły za broń i już miały paść pierwsze strzały, gdy polekłe niewiasty potężnym głosem o arbitraż prosić poczęły. Zebrał się tedy arbitraż i uradził:

1. Część ludu niewieściego osiedli się na terytorjum gminy im. St. Staszica.
2. V-ty męski zwać się będzie odtąd ku pamięci potomnym V-tych koedukacyjnych.
3. Do przybycia słynnego rycerza Apolinarego, przewagę mieć będą niewiasty.
4. Lud niewieści ma pospołu pracować z ludem męskim, dla dobra gminy im. St. Staszica.

Na to powstał wśród niewiast głośny lament, gdyż spodziewały się rozkazywać ludowi męskiemu.

— Gdyby choć nas połączono ze sztabakami! — wzdychały niektóre. Lecz twarde przeznaczenie zmusiło je do posłuszeństwa. Zebrały się tedy „nieszczęśliwie“ niewiasty i pozostawiając na złość ludowi męskiemu swoje „mienie“, szły powoli, smętnie, oglądając się raz po raz za pozostałymi towarzyszkami. A taka szła od nich żałość okrutna, że aż kamienie, obok których przechodziły, potniały, a doliny jeziorami słonemi się wypełniły. A wnet przyszło opamiętanie i pogodzenie się z losem. Do pracy na gminie wzięły się z takim zapałem, że aż staruszek Staszic zląkł się o swoje jestestwo.

Jedna z nich tylko była niepokieszona. Usiadła daleko, hen pod piecem i jeła samotnie rozmyślać nad znikomością tego świata. Trwało to, dopóki na horyzoncie nie zjawił się ów rycerz Apolinary. Pośpieszył rychło w ową stronę, jako że ślubował pocieszać biedne, opuszczone istoty. Odtąd nie było słyhać z pod pieca bolesnych westchnień. Często zaś zato z za szerokich barów rycerza ulatywał ku górze jasny filuterny śmiech, od którego najtwardsze serca miękły i miast nienawiści, napełniały się zgodą.

J. Kołodziejski V.

Z kroniki II ż.

Stał się cud! Melcia znikła nam! — słyhać krzyki po fizyce I-ej grupy, a dziewczynki z grupy II-ej pytają ciekawie, co to ma znaczyć (one są ogromnie dumne, że w ich grupie zawsze coś się dzieje).

— To ma znaczyć, że nie tylko u was mogą dziać się nadzwyczajności. Cóż z tego, że u was wczoraj ogłuchła Zocha? Dziś u nas zginęła Melcia!

— Co? Jak?

— Tak zwyczajnie. Zapalała tę mieszaninę, wiecie, 1 : 2 tlen z wodorem i znikła... to jest zginęła ze strachu... Upadając na ziemię, potrafiła tablicę, która, gdybyśmy nie nadbiegły, napewno runęłaby i zabiła ją (Mele). Pan profesor podniósł nieszczęśliwą, trzęsącą się ze strachu, a myśmy odprowadziły ją do stołu. Widzicie, że u nas też może się coś ciekawego zdarzyć!

— E, co tam u was -- wyrywa się któraś z II gr. — u nas to rozumiem, ogłuchła Zocha. Wprawdzie każdą głowa bolała, ale pękałyśmy ze śmiechu, słuchając Zosinego „co?“ w odpowiedzi na nasze skierowane do niej pytania.

Ledwie skończyła, a już gr. I-sza krzyczała, że ogłuchnąć, to jeszcze nic, że całkiem „zginąć“, to coś więcej. I tak narzeczian kłóciłyby się do nieskończoności chyba, gdyby nie dzwonek, zwołujący na matematykę.

Hanka II ż.

Kronika ogólnoszkolna za wrzesień.

1. Skończyły się wakacje. Dziś uroczystą Mszą Św. w kościele Farnym rozpoczęliśmy nowy rok szkolny.
5. Rozpoczęła się praca w naszej Organizacji „Bratnia Pomoc“. Z dniem dzisiejszym uruchomione zostały wszystkie działy naszego Stowarzyszenia.

12. Dnia 11 b. m. lotem błyskawicy obiegła Polskę smutna wieść. Bohaterzy nasi Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura, którzy lotem swym wstawili imię Polski, zginęli śmiercią lotników. Dziś po modlitwie, po krótkim przemówieniu prezesa L.O.P.P. kol. Pawłowskiego uczciliśmy pamięć bohaterów chwilą ciszy. Po południu odbyła się spowiedź w kościele Farnym.
13. Lekcji nie było. Z rana zgromadziliśmy się w naszej kaplicy, aby wysłuchać Mszy Św. i przyjąć Komunię Św.
15. O g. 16 starsze kursy udały się do teatru, gdzie teatr objazdowy wystawiał „Kordjana” J. Słowackiego. Odegranie sztuki wywarło na nas dość dobre wrażenie.
17. Po dwóch lekcjach delegacje poszczególnych kursów wysłuchały Mszy Św. w kościele Farnym za duszę ś. p. Żwirki i Wigury.
21. Dziś podczas ostatnich dwóch godzin w kaplicy naszej Ks. Prefekt odprawił Mszę żałobną za ś. p. Panią Prezydentową Michalinę Mościcką, poczem pamięć Jej uczciliśmy krótką akademją. Na treść akademji złożyły się: przemówienie p. Pacewiczówny o zasługach Dostojnej Zmarłej, deklamacje i chór.

Z kroniki państwowej za wrzesień

Mniejszości w Polsce. Według obliczeń prof. A Krysińskiego (na zasadzie spisu ludności z 9 XII 1931 r.) ludność niepolaska, wynosząca ogółem 9.925.000, rozpada się, jak następuje: Ukraińcy (Rusini) 4.800.000, Żydzi 2.700.000, Białorusini 1.500.000, Niemcy 700.000, Rosjanie 80.000, Litwini 80.000, Czesi 30.000. Mniejszości posiadają zdecydowaną większość w powiatach (ilość Polaków mniej niż 25%), a większość względną w 29 powiatach (ilość Polaków od 25 do 47%). W pozostałych 220 powiatach bezwzględną większość stanowią Polacy. Największe skupienie ludności niepolskiej mamy w 4 obszarach narodowościowych: 1. Bielsk na Śląsku, 2. Północny pas Wileńszczyzny, 3. Środkowy obszar Kresów w Wschodnich i 4. Podkarpacie z przylegającą częścią Małopolski Wschodniej. W porównaniu z r. 1921 jedna mniejszość wykazuje spadek t. j. Niemcy. Spadek ten wynosi około 300000, a tłumaczy się: emigracją do Niemiec*), odpolszczeniem zniemczonej ludności polskiej i stosunkowo niedużym przyrostem naturalnym. W rezultacie województwa zachodnie są dziś pod względem etnograficznym najbardziej polskie. Wzrost wykazują Ukraińcy: w porównaniu ze skorygowanym spisem z r. 1921 — około 500000, oraz (% największy) Białorusini: również ok. 500000

*) Po r. 1921 opościło Polskę około 500000 Niemców

(tłumaczy się to przedewszystkiem repatracją z Rosji). Inne mniejszości, nie wykazują większych zmian.

Reelekcja Polski do Rady Ligi Narodów. Prawo reelekcji (ponownej obieralności) uzyskaliśmy w r. 1926 w związku w przystąpieniem Niemiec do Ligi Narodów i wejściem ich do Rady Ligi w charakterze członka stałego. Po upływie trzyletniej kadencji naszej w Radzie Ligi uzyskaliśmy na Zgromadzeniu L. N. w r. 1929 wybór na ponowne trzylecie. Gdy ten termin minął, na wniosek naszej delegacji, Zgromadzenie L. N. na XIII sesji, w wrześniu b. r. wybrało Polskę do Rady Ligi na trzylecie 1932—1935 ogromną większością 48 głosów przeciw 4. W ten sposób nasze miejsce w Radzie Ligi, formalnie półstałe, zamienia się zwolna na miejsce faktycznie stałe*), Świadczy to wymownie o zaufaniu, jakim darzy naszą politykę zagraniczną cały świat, i o zrozumieniu przez ten świat naszego mocarstwowego stanowiska w życiu międzynarodowym i szczególnej roli naszego państwa w utrzymaniu pokojowych stosunków we wschodniej Europie. Nasze mocne państwo współpracuje w Radzie L. wraz z innemi mocarstwami nad utrzymaniem pokoju powszechnego i hamuje skutecznie zapędy rewizjonistyczne Niemiec.

J. Pawłowski V m.

*) Miejsce stałe przyznane jest tylko 5 wielkim mocarstwom.

Odpowiedzi Redakcji.

„Myśli“. — Stef. IV. Nie drukujemy.

„Dzwonek“ i „Noc“ — Muchy. „Myśl dobra“ ale tym i rytm szwankują. Radzimy więcej popracować, nie zrażając się, że tym razem prac nie drukowano.

„Pożar“ — Genia IV. ż. Odkładamy do innego n-ru.

„Coś o Chopinie“ — J. K. III m, Z powodu opóźnienia w nadesłaniu odkładamy do następnego numeru.

Polemika o zasilanie „Mł. Myśli“

Tak, zasilajmy, ale nie artykułami, które aczkolwiek są ubrane w piękne i pociągające słówka, to jednak nie są wolue od frazeologii, t. j. sztuki, która nie ma w sobie nic, coby można praktycznie zastosować. Myślę, że zamiast posądzać młodzież naszą o kryzys umysłowy, lepiejby autorka zrobiła, gdyby zastosowała swoje wezwanie do siebie i wzięła się do pióra, aby pokazać, że kryzys umysłowy jej „nie cechuje“ Realnie wyglądałaby sprawa, gdyby autorka „Do pracy“ napisała coś godnego uwagi, a nie zachęcała namiętnie do pracy. To brzmi jak frazes. Ha, ha frazesy!

Kaz. Kowalski IV m.

ODBITO
w
DRUKARNI „LECHIA”
BIAŁYSTOK.
Rynek Kościuszki 15,
Tel. 6-11.
Obst. 63.

Cena numeru 40 gr.